

Dziewicze Gorgany: Kiedy smakuje obleśna kawa „3 w 1”?

Kilkakrotnie w ostatnich latach wybierałem się w urokliwe ukraińskie Gorgany. Wędrowałem z plecakiem wzdłuż polskich słupków granicznych. – Niechlujnie powyrywanych po wojnie z ziemi i dosłownie powyrzucanych ze złością do lasu. Najlepiej korzystać tutaj z reprintów polskich przedwojennych map wydanych przez Wojskowy Instytut Geograficzny. Są bardzo dokładne. Sowieckie mapy wydane za komuny oraz ukraińskie drukowane w ostatnich latach nie znają siatki południków i równoleżników. Są takim nie nadającym się do użytku kolorowym obrazkiem. Często ginie ścieżka, często musimy posiłkować się kompasem. Gdy jesteśmy już zdesperowani i przez pół dnia kluczymy po niechlujnie pociętych przez Ukraińców drzewach, zaczynamy z oddali wpatrywać się w zbocza gór i odnajdujemy ciąg przerzedzonych pasków w gęstwinie. Jest to dla nas znak, że być może biegła tamtędy przed wieloma dziesiątkami lat ścieżka graniczna. Gdy umorusani błotem i żywicą docieramy do takiego miejsca, odnajdujemy w okolicznych dołkach wyrwany z ziemi granitowy polski słupek graniczny. Jego numer konfrontujemy ze starą polską mapą i już wiemy gdzie jesteśmy. Wędrujemy też w poszukiwaniu ruin polskich schronisk wzniesionych w okresie międzywojennym. Znajdujemy zasypane studnie. Spalone budynki. Jedynie fundamenty przypominają nam, gdzie przedwojenni turyści mogli napić się ciepłej herbaty i znaleźć schronienie przed rześnistym deszczem. W dolinach przekraczamy rzeki brodami, spoglądając z rozrzewnieniem na ruiny przedwojennych drewnianych mostów. Stały tam jeszcze po wojnie, aż się rozsypały. Ukraińcy wolą przekraczać rwące rzeki wplaw i szukać dogodnych brodów, niż naprawić stary polski most.

Przypomina mi to ukochane okolice Paszczurkowa – północne Mazury, czyli przedwojenne Prusy Wschodnie. Tam pobudowali Niemcy piękne dworki, urokliwe gospodarstwa rolne, ogromne śluzy, wykopali kilometry Kanału Mazurskiego. Gdy zostali przesiedleni, nasi rodacy ze Wschodu, którzy przybyli na ich miejsce zostali dosłownie skoszarowani w pięknych pałacach wznoszonych i pielęgnowanych przez Niemców przez dekady i stulecia. Wprowadzili się tam wraz

z licznym potomstwem, trzodą chlewną, kurami i kozami. Stylowe meble zostały porąbane na szczapy i spalone pierwszej zimy. Wszak w upojeniu alkoholowym ciężko iść w srogą zimę do lasu rąbać drzewo. Zamiast naprawiać zalane i zmurzałe dzięki cieknącemu dachowi schody, poustawiano stoły i krzesła jedno na drugim, by móc kilka razy dziennie wychodzić do izb położonych na piętrze. Po co naprawiać dach, odświeżać ściany i po co robić nowe schody, skoro kwaterkę nam tylko przydzielono i nie należy do nas? Płakać się człowiekowi chce, gdy patrzy na pałac w Sztynorcie i setki podobnych, mniejszych budowli rozsianych po północnej Polsce. Ktoś kiedyś z wielkim poświęceniem i namaszczeniem budował, wykańczał, pielęgnował. Potem przyszła zawierucha wojenna, przesiedlenia Niemców z Polski, Polaków ze Wschodu. Swołocz, która tu przyjechała nie znała cywilizacji. Zachowywała się tak, jak opowiadał nam w szkole nasz geograf o industrializacji w Andrychowie w latach siedemdziesiątych: Gdy powstały fabryki silników, tkalnie, pobudowano dla robotników i świeżo upieczonych inżynierów bezduszne bloki. By pozyskać ręce do pracy, zachęcono okolicznych wiśniaczków, by przeprowadzili się do miasta. Ci przybyli tu nie tylko z żonami, i dziećmi. Przywlekli ze sobą świnkę, którą trzymali w wannie w małym i ciasnym M3, kurczęta, które śmierdziały w kuchni i pieska, który srał na klatkę schodową. Taka migracja nastąpiła do mazurskich domów bogatych chłopów niemieckich. Polacy ze Wschodu nie wiedzieli co to umywalka, więc ponemieckie umywalki przeznaczone dla robotników przerobili na korytka dla kur i kaczek, toalety na chlewiki, a dla siebie pobudowali drewniane wychodki.

Nierób zniszczy wszystko

Kupiłem po wielu trudach dwa ponemieckie gospodarstwa rolne na Mazurach. Jeden z domów jest zapuszczony do tego stopnia, że po prostu pękł i został skręcony śrubami. Pękł dlatego, że przez dziesięciolecia nikt dachu nie naprawiał. Drugi dom też był zamieszkiwany przez hołotę, która napłynęła tu niewiadomo skąd. Chlewki nie remontowane od momentu gdy wyrzucono stąd Niemców. Na szczęście ocalały malownicze alejki starych wierzb. Kosztowna naprawa tych uroczysk to hołd dla budowniczych i rodzin które musiały stąd wyjechać po wojnie. To krzyk rozpaczy nad prymitywną polityką komunistów, którzy dostali coś za nic i nawet nie potrafili tego utrzymać. W myśl zasady „łatwo przyszło – łatwo poszło”. To pogarda dla chamów ze wschodu, którzy wleźli w dziurawych gumofilcach do zadbanych wiejskich posiadłości. Nie potrafili i nie chcieli naprawić przydzielonego im domu. Hołocie nie wolno nic dawać za darmo. Gawiedź w razie wątpliwości przeżre to, zniszczy, nie

utrzyma. Widać tu taką agresję w nicnierobieniu. Porażający swym zacietrzewieniem marazm.

Marazm? Nie, nie musi być marazm. Może być aktywna agresywna grabież. Tak stało się w 1945 roku na nabytym przeze mnie niedawno Uroczysku Mazurskim. Stało tam piękne, skromne gospodarstwo Niemca. Gdy Niemca wypędzili, przysłała gawiedź z okolicznych wiosek i rozgrabiła nie tylko to czego Niemiec nie pomieścił w walizkach. Hołota rozebrała dom do fundamentów! Po co komu piękny dom? Nienawiść do pracodawcy przerodziła się w totalną destrukcję. W miejscu kameralnego gospodarstwa wybudowano dziesięć lat później wielki PGR. Gdy go w latach dziewięćdziesiątych zlikwidowano, przyszły dzieci ojców, które grabiły Niemca i rozebrały do fundamentów wszystkie budynki PGR-u. I tak to właśnie większość ludzi stoi w miejscu. Odbudowa rozpoczyna się dopiero, gdy takie urokliwe miejsce trafia w miejsce kogoś, kto za nie musiał słono zapłacić. Odbudowa jest kosztowna, ale pozwala przenieść się myślami do czasów, kiedy pracowici ludzie konstruowali i budowali.

Koło Węgorzewa pełno jest starych budowanych przez Niemców śluz. Planowali oni połączyć Mazury z Bałtykiem. Zaplanowali malowniczy Kanał Mazurski, na którym spadek nurtu zamierzali zniwelować licznymi śluzami. Budowniczych zastała wojna i nie mogli dokończyć dzieła, które dzisiaj byłoby jedną z największych atrakcji turystycznych Europy. Oto po dwóch tygodniach bujania się żaglówką po Wielkich Jeziorach Mazurskich moglibyśmy udać się nad Bałtyk tym samym jachtem, płynąc kameralnym, wijącym się pośród puszczy, kanałem. Po wojnie prace ustały. Niedokończone budowle najbardziej wyrafinowanej myśli hydrotechnicznej zarosły wodorostami, szuwarami, potem trawą, krzakami i drzewami. Resztki kanału stały się lęgowiskiem komarów i tylko umocnione brzegi przypominają wielkich konstruktorów.

Wysiedlić żula

Nie trzeba wybierać się do Prus Wschodnich by poczuć oddech wschodnioeuropejskiego chamstwa. Wychodząc o siódmej rano do pracy z mojego mieszkania w Warszawie, widzę na Noakowskiego, przed kamienicą, w której ukrywał się Szpilman, jak od rana miejscowe prostaczki żłopiają piwo. Na co ładniejszą dziewczynę gwizdzą. Prawią o polityce. I gdy wracam znużony pracą o dwudziestej pierwszej, też ich widzę przy browarku. Nie chce im się chodzić do domowej toalety, więc sikają w bramie. Z nudów obsmarowują ściany za-bytkowej kamienicy. Mieszkają tu za darmo. Wszak to mieszkanie komunalne.

Burzą się przed jakimikolwiek remontami. Ślą donosy na tych, którzy przez tydzień hałasują remontując swoje mieszkanie. Gdy nabyłem to mieszkanie, mieszkali tam żule: mąż i żona o sinych z przepicia twarzach. Trójka wybie-dzonych dzieci bitych przez rodziców. W pięknym apartamencie profesorskim w dziewiętnastowiecznej kamienicy. Z widokiem na oświetloną nową żółtawą fasadę budynku Politechniki. Mieszkanie jest wysokie, cztery metry. Kiedyś sta-ły tu stylowe meble, był wykwinny parkiet. Na sufitach sztukateria. W grudniu 2004 r., tuż przed wyjazdem na Kubę zadzwonił do mnie agent nieruchomości i powiedział, że ma perełkę. Wyrwałem się z pracy, złapałem w biegu kurtkę i dobiegłem w 5 min do mieszkania. Wjechałem rozklekotaną starą drewnianą windą, wpadłem do mieszkania, przebiegłem przez nie i po trzech minutach umówiłem się następnego dnia u rejenta. Zarejestrowałem straszny widok: oto w pięknym lokalu są pomalowane kredkami ściany, dziurawa klepka, z rur cieknie woda, a w salonie na środku leży metrowa kupa ubrań ludzi, którzy tam mieszkają. Remont trwał czternaście miesięcy. Najpierw przez 4 miesiące robotnicy zrywali stropy. Okazało się, że na pięknej położonej przed wojną klepce przybito ordynarnymi gwoździami kolejną, a na tą następną i następną. Płakać się chciało, gdy widziałem starą piękną klepkę dębową. Gdy w lecie przyjechało z Poznania dwóch artystów plastyków, by przez dwa miesiące odnawiać sztukaterię okazało się, że piękny naturalny łososiowy sufit i wyrafinowana sztukateria zostały po wojnie przez komunalnych lokatorów zamalowane farbą olejną. Wieloma warstwami, których zdjęcie musiało zająć wiele tygodni czasu. Podczas remontu wszyscy prawie sąsiedzi byli lokatorami, którym piękne mieszkania zostały przydzielone. Wielokrotnie skarżyli się na mnie w administracji budynku, na policji, w straży miejskiej, u architekta miasta. Przycho-dziły kontrole. Ja tłumaczyłem się. Dzisiaj widząc tych niedawnych donosicieli z butelką piwa w brudnej łapie o siódmej rano przed budynkiem przychodzi mi na myśl jedyne rozwiązanie, jakie pozostaje bezradnemu obywatelowi w obec-nym stanie naszego prawa: żuli należy zapędzić do roboty. Albo tak jak zrobiła obecna prezydent Warszawy i właścicielka sąsiedniej kamienicy: wysiedlić ich siłą. Od kilku miesięcy na ulicy jest spokój. Żule znikają jeden po drugim. Nie śmierdzi już w bramach na Noakowskiego. Jacyś inni ludzie chodzą po ulicy. Wraca normalność.

Otruć górala

Siedzę sobie w pracy na Koszykowej pewnego wiosennego dnia. Dzwoni te-
lefon, naciskam zielony guzik i słyszę znajomy rozweselony głos kolegi. „Cześć

Tomeczku! Jestem w pociągu z Krakowa, będę u Ciebie za dwie godziny. Muszę otruć górali. Cześć.” Dwie godziny później siedzimy w Club 99. Kolega poznał mnie w Toruniu, gdy po bankiecie z kolegami niósł do hotelu młodego prawnika, który najpierw przy wrzawie prezesów firm eksportowych zbeształ urzędników, udowodnił im, że są zerem, a następnie wypił bruderszaft z trzema tuzinami krzepkich jegomościów zaprawionych w wódczanych bojach.

- „Tomeczku, sprawa wygląda tak: Piłem cały weekend z góralami.”

- „I co?” – Zapytałem.

- „Kupiłem od nich górę. Dałem zadatek”. – Odpowiedział kolega.

- „Rejent też z Wam pił? Dawaj na stół kwity, które podpisałeś!” – Zacząłem czuć pismo nosem i w moich pytaniach pytałem o sedno sprawy, czyli coś, bez czego dziś nic nie funkcjonuje. Coś, co potrafi zmienić rzeczywistość. Coś na pierwszy rzut oka ulotnego, a w istocie rzeczy najważniejszego. Coś, co opisuje krótkie słowo: „Kwit”!

- „Nie było rejenta. Nic nie podpisaliśmy. Poznaliśmy się w piątek, piliśmy całą sobotę i niedzielę, a po kościele dobiliśmy targu, dałem im zadatek. Nie trzeźwiałem do wtorku do południa. Było wszystko: wóda, a przede wszystkim śliwowica. Górale to mają łeb. Ale dotrzymałem im tempa.” – Opowiadał mi po drugim zimnym piwie-klinie kolega.

- „No to pokaż, co napisaliście na pokwitowaniu odbioru gotówki” – zacząłem się niecierpliwić.

- „Problem w tym, że nic takiego nie mam. I na dodatek jeden z górali nie chce mi dziś sprzedać wąskiego paska ziemi.” – Oświadczył kolega z rozbrajającym uśmiechem na twarzy.

- „A tak z innej beczki: Po jaką cholere Ci ta góra na zadupiu?” – drażyłem temat, okazując koledze i staremu klientowi wyrozumiałość.

- „Mam tam na dole hotel i chcę zbudować porządną stację narciarską. Pojechałem więc do górali i ubiłem z nimi targu. Gdy dzisiaj rano obdzwoniłem wszystkich, każdy potwierdził mi przez telefon, że dobiliśmy targu i potwierdził termin u rejenta. Z wyjątkiem jednego, który najpierw podwoił cenę, potem potroił, a na koniec oświadczył, mi, że na razie ziemi mi nie sprzeda. Sęk w tym, że przez jego działkę ma biec sześćosobowa kanapa na górkę.”

Wyjaśniłem dobrodziejowi, jak daje się zadatek. Na koniec udało mu się sfinalizować wszystkie transakcje z wyjątkiem tej jednej. Góral był uparty. Windował cenę do nieba. A gdy kolega się na nią zgadzał, odstępował od transakcji. Na koniec podbuntowali miejscowych samorządowców, by w ustawionym przetargu wydzierżawili grunt pod parking podstawionej spółce z Warszawy. I w taki sposób zabita dechami wioska pozbawiona została trwałego dochodu, turystów i rozwoju. - Welcome in Poland! – Kraju zawiści, korupcji. Jeśli coś u nas można tylko spieprzyć, to trzeba mieć pewność, że się spieprzy. Czym więcej pracuję z firmami i skonfrontowany jestem z polską rzeczywistością, tym bardziej myślę o tym, że pojawi się kiedyś ktoś, kto będzie nawoływał do obywatelskiej nieposłusznosci, do niepłacenia podatków, do ucieczki z opodatkowaniem za granicę. Może wtedy nasz kraj kupi ktoś na ebayu albo na allegro za jednego ringita² i tak, jak z podupadłej linii air asia zrobi światowego giganta. Ktoś, tylko nie my, tylko nie polactwo.

- „Tomeczku, jedyne wyjście, jakie mi pozostaje w tej sytuacji to otruć górala!”

- „Na zdrowie przyjacielu!”

Wracając myślami w ukraińskie Gorgany zastanawiam się, dlaczego polskie schroniska zamieniły się w ruinę, zostały zrównane z ziemią? Chyba z tych samych powodów, dlaczego Mazurskie Uroczysko umarło i dlaczego w Piwnicznej nie będzie stacji narciarskiej.

Na Ukrainie w dzikich górach spotykamy zdziczałe psy pasterskie. Zamiast obroży mają drut z przyczepionymi długimi i ostrymi kolcami. Tak na wszelki wypadek, by odczyć je gryzienia siebie nawzajem, ale też, by uchronić je przed wilkami. Psy wściekle ujadają. Bronimy się gazem pieprzowym, kamieniami, którymi rzucamy w rozwścieczone bestie i ostrymi kijkami stalowymi, którymi kłujemy morderców w głowę.

W moim dzienniku zapisałem leżąc przemoczony w namiocie: „Największe wrażenia to: Wielkie ognisko w ulewnym deszczu – odrobina rozkoszy po ciężkiej i długiej wędrówce; Obleśna „nescafe 3 in 1”: Na co dzień powoduje u mnie odruchy wymiotne i tylko samobójca ją pije. Spożywana w Gorganach w przemoczonym namiocie wieczorem i zmieszana z ukraińskim koniakiem staje się ambrozją. Chleb ze smalcem od cici Joli smakuje najlepiej z cebulą. Małeńkie ognisko o zimnym poranku – fajny początek dnia po zimnej i mokrej nocy. Warto pojechać w Gorgany, by się wyciszyć.”

2 Waluta malezyjska.